

Fantastyka

wydanie specjalne

numer 2 (39) 2013

cena 9 zł 99 gr (w tym 8% vat)

Kij Johnson
**Człowiek,
który przerzucił
most przez mgłę**



**Grzegorz
Gajek**

Żałoba ludów

**Andrzej
W. Sawicki**

Przy świetle księżyca

**Adam
Przechrzta**

Czarne winobranie

**Ferrett
Steinmetz**

Stacja kiszzonej kapusty

**Zbigniew
Prochocki**

Ziarenka piasku

PROSZYŃSKI
MEDIA

ISSN 1731-7134



04

INDICES 381 985

9 771731 713309

A KTO z nami [NIE] PRZECZYTA...



C.S. FRIEDMAN

DZIEDZICTWO KRÓLÓW

Finał magicznej trylogii! Ludzkość czeka ostateczna bitwa z Duszożercami – podobnymi do smoków krwiożerczymi stworami, jeszcze do niedawna odgradzonymi od południowych krain magiczną barierą, Gniewem Bogów. Mur jednak upadł i na świat ludzi padła groźba totalnego wyniszczenia. Oto kluczowe starcie Drugiej Ery Królów.

MICHAEL J. SULLIVAN

ZDRADZIECKI PLAN

Jedna z najlepszych epickich serii fantasy na rynku. Nacjonaści przegrali, a władcy Nowego Imperium planują uczcić swoje zwycięstwo wyjątkowo krwawą ceremonią. Nie wzięli jednak pod uwagę, że ich plan może się nie spodobać pewnym złodziejom. Royce i Hadrian po raz kolejny uratują swoją ojczyznę.

ORSON SCOTT CARD

AARON JOHNSTON

W PRZEDEDNIU

Sto lat przed wydarzeniami opisanymi w „Grze Endera” ludzie sądzili, że są sami w Galaktyce. Kiedy więc wykrywają w granicach układu szybko poruszający się obiekt, nie wiadomo, co o nim sądzić. A to pierwszy kontakt ludzkości z obcą rasą. W powietrzu wisi pierwsza wojna z Formidami.



CZARNE WINOBRANIE

ADAM PRZECHRZTA

Daniel Grzeszkiewicz



Zorientowałem się, że jestem śledzony, niedługo po wjeździe do miasta. Niby nic poważnego: ot, drobne zawirowania aury, lekkie swędzenie skóry, przelotny rozbłysk ochronnych run na kierownicy. Nic poważnego? Być może. Tylko że moja sybilla znajdowała się na krawędzi wypalenia, od tygodni, może miesięcy wspomagała się przy codziennych czynnościach małymi karteczkami przypominającymi jej, co ma zrobić. Przypominajki znajdowałem wszędzie: na ścianach, drzwiach lodówki, w samochodzie. Kiedy to się zaczęło? Nie wiedziałem. Nie zwróciłem uwagi. Nie chciałem zwracać. Teraz miałem za to zapłacić. W Zielonej Górze zwoływano szary sabat, a moja sybilla wysłała czarna dziura niepamięci. Bez niej byłem ślepy i głuchy na wszelkie sygnały magiczne poza najsilniejszymi. Co za tym idzie – bezbronny.

Być może Zielona Góra pozostała nadal przyjaznym miastem o nieco sennej atmosferze – taką ją zapamiętałem sprzed Pęknięcia – jednak trzeba było liczyć się z przyjezdnymi. Ci z pewnością nie będą przyjaźnie nastawieni. Szary sabat to nie tylko szansa na dołączenie do barwy, to także okazja dla wszelkiej maści cwaniaczków, kombinatorów, złodziei i morderców. Było więcej niż pewne, że samo zebranie sabatu wywoła auryczne burze, które zagłuszą wszystko, co w normalnej sytuacji zostawiłoby ślad w aurze. Detektory używane przez policję przez kilka dni będą bezużyteczne; idealna okazja do załatwienia porachunków, pozbycia się konkurencji czy zwiększenia mocy. Do tego nadchodziło winobranie. Ile Potęg uzna je za najlepszy moment na objawienie się w naszym świecie?

Potęgi...

Kiedy kilka lat temu pojawiła się gra „Secretum”, nic nie zapowiadało katastrofy, każdego roku ukazywały się dziesiątki podobnych, konwencja RPG była w modzie. Także koncepcja – podstawą wszelkich osiągnięć bohatera miała być magia – nie stanowiła żadnej nowości. Problem tkwił w czym innym: autorzy gry byli erudydami. Nie wykształciuchami czerpiącymi na chybił trafił z takiej czy innej mitologii, a prawdziwymi erudydami, znawcami rytuałów magicznych. Grupa znudzonych akademickim życiem ekspertów postanowiła zapoznać świat z wiedzą na temat magii. I zapoznała... Rozentuzjasmowani niecodziennym projektem uczeni przetłumaczyli beztrząsco magiczne teksty z martwych od setek, a nawet tysięcy lat języków. I udostępnili je ludziom z całego świata.

Produkcja odniosła niesamowity sukces, a miliony graczy zaczęły odprawiać rytuały. Autentyczne rytuały. Każdego dnia

szeptano słowa, których nie wymawiano od milleniów, wzywano istoty zapomniane na długo przed odkryciem Ameryki, składano ofiary. Mimo że wszystko działo się w wirtualnym świecie i tego wystarczyło, żeby przebudzić siły, które od wieków pozostawały uśpione. Które powinny pozostać uśpione. Te zaś powróciły, żadne wyznawców i prawdziwej, niewirtualnej krwi. I mogły za nią zapłacić. Zdrowiem, młodością, ekstazą, wreszcie życiem wrogów... Tak rozpoczęło się Pęknięcie.

Wiktoria dotknęła delikatnie mojej dłoni, dojeżdżaliśmy do centrum. No tak, rynek...

– Musimy się rozejrzeć – przypomniiała.

– Nie mamy za czym! – warknąłem.

– Potrzebna nam krew.

Zacisnąłem zęby, zaparkowałem. Rzeczywiście, potrzebna nam była krew: magia bazowała na rozmaitych, często trudnych do zdobycia ingrediencjach. Podejrzewałem, że w gruncie rzeczy nie tyle chodziło o skład chemiczny wymienianych w grimuarach substancji, co o emocje jakie wywoływały u maga. Potęgi karmiły się emocjami. Krew dziewczycy, ziemia cmentarna, sproszkowana żmija...

Wiktoria wzięła mnie pod ramię, poprowadziła w stronę jednego ze straganów. Prześlizgnąłem się wzrokiem po szerokiej ladzie. Rzeczywiście niezły asortyment: mandragora, nagietek, pejotl, nard, olej świętego Jana, pięciornik, złodziejska trawa. Tuż obok kamienie szlachetne i półszlachetne, gotowe elektuarze i eliksiry. Było w czym wybierać. Tyle że zapasy mogłem uzupełnić już wcześniej w którymś z mijanych po drodze miasteczek. Tu i teraz musiałem zrobić coś innego: wynająć nową sybilla.

Powoli, jakby przyciągany przez niewidzialny magnes, skierowałem się ku oczekującym na klientów kobietom. Było ich kilkanaście: młode i starsze, ładne i nijakie. Sybille... Nie znałem żadnej aktywnej sybille po czterdziestce. Wszystkie wypalały się po paru latach, dożywały swoich dni w domach opieki, niczym chorzy na Alzheimera. Tylko sybille widziały to, co zakryte było dla oczu wszystkich innych ludzi, z magami włącznie. Jednak musiały za to zapłacić, po Pęknięciu wszystko miało swoją cenę. Oczywiście mogły też zignorować swój dar, wówczas zachowywały zmysły nieco dłużej, jednak rzadko która się na to decydowała: tylko magowie zarabiali więcej niż sybille, a pieniądze pozwalały nie tylko cieszyć się pełnią życia, ale i zabezpieczyć sobie opiekę do samego końca...

Stopniowo uścisk dłoni Wiktorii stawał się coraz silniejszy, w końcu jej palce zacisnęły się na moim nadgarstku niczym

ZIARENKA PIASKU

SŁAWOMIR PROCHOCKI

Daniel Gizeszkiewicz



nienajnowsze i poobijane palmtopy. Stary notebook i kosmetyki nie zainteresowały celnika. Pewne zaciekawienie wzbudziła składana parasolka. Rozłożył ją i spojrzał na mnie bez wyrazu.

– To od słońca. Mam uczulenie. – Podwinąłem rękaw i pokazałem na ramieniu mnóstwo czerwonych krostek.

– Aha. – Złożył parasolkę.

– A tam co pan ma? – Wskazał na mój bagaż podręczny.

Z trudem postawiłem torbę na ladzie i otworzyłem zamki. Ważyła ze dwadzieścia kilo. Ledwo zmieściła mi się pod fotelem w samolocie, ale nie mogłem ryzykować ograbienia lub zniszczenia tej części bagażu.

Walizka zawierała cały sprzęt do satelitarnej łączności wizyjnej oraz skaner, fax i kamerę cyfrową. Najwięcej ważył transponder satelitarny, dobrze ponad dziesięć kilogramów wraz z akumulatorem. Celnikowi zabłysły oczy, jak sroce na widok świecidełek. Zaczął przeglądać mój sprzęt. Bardzo spodobała mu się kamera, oglądał ją na wszystkie strony.

– Ten sprzęt stanowi całość. Nawet bez jednego elementu będzie bezużyteczny – powiedziałem. – To urządzenie do bezpośredniej łączności satelitarnej.

– Która właśnie została zakazana przez ministra spraw wewnętrznych – odparł, z widocznym trudem hamując radość. Zatrzasnął wieko. Nie bez trudu zestawiał walizkę na ziemię, ale po swojej stronie lady.

– Ale to moje narzędzie pracy, bez niego nic nie zdziałam. Jestem reporterem. – Pokazałem legitymację prasową.

– Wiemy. Ale sprzęt zabieramy do depozytu. Proszę zgłosić się po pokwitowanie do stanowiska przy wyjściu. Witamy w Kenii – oznajmił, oddając mi paszport. Miał twarz bez wyrazu. Była jak wyrzeźbiona w hebanie i wypolerowana do połysku. Mógłbym przysiąc że policzki miał twarde jak drewno.

Wziąłem paszport i ze złością szarpnąłem za rączkę walizki. Potknąłem się i o mało co nie wyrzuciłem na podłogę. Celnik nie miał twarzy z hebanu. Policzek lekko drgnął mu w tłumionym uśmiechu.

Wyszedłem z pokoju i podszedłem do okienka po pokwitowanie za zarekwirowany sprzęt. Dostałem urzędowy dokument, na którym opisano moje rzeczy jako jedną walizkę z elektroniką. Gdy będę ją odbierał, w środku na pewno będzie najwyżej stary kalkulator. A może i to nie.

Mbewe czekał tuż obok wyjścia. Sprawnie odegnał tłum dzieciaków czyhających na moją torbę i sam wziął bagaż. Klepnął mnie po plecach i uśmiechnął się szeroko. Na czarnej jak węgiel twarzy nie miał ani kropelki potu.

– Witaj John! Jak lot?

– Chyba zamiast samolotem leciałem jakimś piecem hutniczym. I to pod pełnym ogniem.

– Zawsze tak mówisz.

– Bo zawsze tak jest. Nigdy nie bywa tu chłodniej?

– Bywa. W porze deszczowej. Za jakieś trzy miesiące.

– Za trzy miesiące.... – Patrzyłem, jak Mbewe pakuje moją walizkę do bagażnika toyoty. Zmęczyłem się od samego patrzenia.

– No, włóż do środka. Jedziemy.

Pojechaliśmy. Mbewe mieszkał jakieś dwanaście kilometrów od lotniska. Klimatyzacja w samochodzie działała idealnie i wiało na mnie przyjemne chłodne powietrze. Gdy dojechaliśmy, nie chciałem wychodzić z samochodu, ale nie było rady.

Mbewe mieszkał w niewielkim piętrowym domu na przedmieściach. Z zewnątrz to niemal rudera, wewnątrz całkiem nieźle urządzone apartament. Stać go na to. Mbewe był naszym człowiekiem w Kenii, a właściwie w tej części Afryki. Człowiekiem CNN.

Pomagał nam dziesiątki razy. Załatwiał rzeczy nie do załatwienia. Zdobywał informacje nie do zdobycia. Należał do klanu Thuni, rządzącego w Kenii. Miał wielu krewnych w najróżniejszych ośrodkach władzy, w wojsku, policji, ministerstwach, służbach celnych. Osobiście znał wielu urzędników, wysokich urzędników. Dziewięć lat temu wyciągnął naszego dziennikarza z więzienia, gdzie zamknięto go za rzekome morderstwo prostytutki. Gdy generał Kanga przejmował władzę w Tanzanii, Mbewe przyjechał po naszą ekipę jednym z trzech czynnych wtedy w Kenii śmigłowców i uratował nam skórę przed partyzantami Batawigo. Był diamentem tej części Afryki, naszym diamentem.

Rozpakowałem się w pokoju gościnnym. To samo twarde łóżko, te same zasłony w oknach. Wziąłem zimny prysznic. Woda jak balsam chłodziła ciało. Stopniowo zmniejszałem temperaturę aż do lodowatej. Wyszedłem spod prysznica, szcękając zębami. Ale dobrze! Przebrałem się w czyste ciuchy i wszedłem do salonu. Mbewe siedział przed telewizorem i popijał drinka.

– Zrób sobie. – Wskazał na stolik ze szkłem. Tak też uczyniłem.

W telewizji pokazywali jakiś mecz. Chyba powtórka. Wpadłem w miękki fotel z martini rozcieńczonym do granic smaku wodą cytrynową.

– Na lotnisku zabrali mi cały sprzęt do łączności satelitarnej i kamerę reporterską. Leciałem taki kawał drogi, aby teraz usiąść na dupie i nic nie robić.

– Nie pomogę ci. Nic się nie da rady zrobić. Zakazali posiadania takiego sprzętu trzy dni temu, jak wybuchła ta afera

PRZY ŚWIECIE KSIĘŻYCA

ANDRZEJ W. SAWICKI



Daniel Grzeszkiewicz

*Kto jest młodzieniec? – strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? – ja nie wiem.*

Krople deszczu bębniły wściekle o rynny warszawskich kamienic. Woda spływała do rynsztoków, zamieniając się w nich w szemrzące strumyki, które litościwie porywały nieczystości i niosły je do Wisły. Przez tworzące się na bruku kałuże energicznie maszerowała niska i drobna dziewczyna w zawadiacko przekrzywionym kapelusiku. Jej sznurowane botki rozbryzgiwały wodę, bo Maria Reutt nie kłopotowała się omijaniem rozlewisk. Zdawała się również nie pamiętać, do czego służy parasolka, którą ciągle złożoną wymachiwała w rytm kroków.

Groźnie zmarszczyła brwi, zmuszając mijany patrol żandarmów do zejścia z drogi. Uniosła przy tym parasol niczym broń, gotowa dźgnąć nim w brzuch któregoś z żołdaków. Groźni moskale ku własnemu zaskoczeniu grzecznie zrobili jej miejsce, czując niezrozumiały respekt przed smarkulą, która nie sięgała żadnemu z nich nawet do ramienia.

Mania pierwszy raz w życiu znalazła się w stolicy Królestwa i niepewność oraz treść maskowała zwyczajową butą. Dopiero co opuściła dworzec kolei wiedeńskiej, gdzie zrewidowano ją i wylegitymowano. Opłaciła tam należność za pobyt w mieście, odesłała bagażowego z kufrem do hotelu, a sama bezzwłocznie ruszyła wykonać zadanie. Załatwi rychtyk interesa i jak najszybciej wyjedzie z miasta.

Warszawa niespecjalnie się jej podobała, za dużo w niej wojska i żandarmów, zupełnie jak w oblężonym mieście. Wszystkie baby chodziły ubrane na czarno, bo żałoba narodowa, robiły przy tym udręczone miny, niczym panny bolejące. Chłopy też jakieś markotne, nosy pospuszczone na kwintę, przemylali tylko chyłkiem wzdłuż ścian, jakby bali się własnego cienia. Dopiero kiedy Mania zobaczyła, jak kilku pijanych kubańców leje nahajkami chłopaka w podartych spodniach, domyśliła się, dlaczego miejscowi starali się nie rzucać moskalom w oczy. Każdy warszawiak zdolny do noszenia broni mógł być wszak buntownikiem. Rosjanie po prostu zaprowadzali w mieście dyscyplinę w sposób dla siebie typowy, przy pomocy piąchy i bata.

Panna Reuttówna nie interesowała się polityką i nie brała udziału w patriotycznej awanturze. Miała ważniejsze sprawy na głowie niż udział w bezsensownym powstaniu tysięcy osiemset sześćdziesiątego i trzeciego roku. Teraz najważniejszym dla niej było umocnienie swej pozycji w sabacie. Z jednej strony wydawało się to proste – aby zyskać głos w zgromadzeniu musiała zostać matroną, czyli pozbyć się panieńskiego wianka. Zwyczajnie zdobyć chłopca. Byłoby łatwiej się go usidlić, ale Mania miała wyższe aspiracje. Mimo pragmatycznego podejścia do życia wierzyła w miłość, tą prawdziwą i jedyną.

Kochający mąż da jej siłę i wyniesie w hierarchii. Kiedy wreszcie zacznie z nią się liczyć, odsunie od władzy stare wiedźmy, które nie rozumiały współczesności. Tylko ona miała na tyle sprytu i odwagi, by poprowadzić siostry w nowoczesność, by znaleźć im miejsce w świecie nauki i techniki. Trzeba zreformować zgromadzenie, przystosować je do nowych warunków. Inaczej sabat zostanie wreszcie zinwigilowany przez carskich agentów i brutalnie zlikwidowany. Funkcjonariusze Urzędu Przemian ostrzyli sobie zęby na każdego nosiciela zepsutej krwi, którego czynnik *mutatio* obdarzył nadludzkimi siłami. Póki co nie mieli pojęcia o istnieniu całego sabatu, związku kilkunastu kobiet władających mocą. Jednak w związku z trwającym powstaniem aktywność agentów poszukujących odmiennej krwi gwałtownie się zwiększyła i kwestią czasu pozostawało, kiedy namierzą stowarzyszenie. Wszystkie wiedźmy zostaną wyłapane i wywiezione do ponurej twierdzy w Kurlandii, gdzie moskale eksperymentują i badają czynnik *mutatio*. Stamtąd odmienicy nie wracali nigdy.

Mania uniosła głowę i wystawiła twarz ku padającym kroplom. Błogosławiony deszcz tłumiał wielkomiejski smród, pozwalał odetchnąć i poczuć się, jakby była u siebie, na litewskiej wsi. Dodawał odwagi i siły. Dziewczyna czuła moc pulsującą we krwi, budzącą się wraz z dotykem wodnego żywiołu. To zew *mutatio* niesiony przez wodę przygnał ją aż tutaj, setki wiorst od domu. Wskazywał drogę do miłości i szczęścia. Wystarczy, by pozwoliła mu się ponieść.

Botki z palonej skóry załomotały obcasami na mokrym bruku, gdy dziewczyna przyspieszyła kroku. Pozwoliła kierować się mocy ku rzece, gdzie pulsowało *mutatio*. On, ten jedyny, musiał być w pobliżu. Manię wypełniała euforia i poczucie pewności siebie. Wyciągnęła rękę, a krople deszczu zawiro-

ŻAŁOBA LUDÓW

GRZEGORZ GAJEK



Daniel Grzeszkiewicz

– Czego tam tak wypatrujesz, mój piękny?

– Nie wypatruję. Słucham.

Jaskinię wypełnił delikatny śmiech Eginę. Jak srebrne dzwonki, tak, jak srebrne dzwonki i wiatr, bryza od morza, pomyślał Kleos. Po chwili poczuł obejmujące go ramiona, a wreszcie jej piersi przylgnęły do jego szczupłych, opalonych pleców.

– Więc czego tak słuchasz, kochany? – szepnęła. Jej język musnął jego ucho.

– Bóg–morze jest niespokojny – odparł. – Mówi mi, że źle robię.

– Źle robisz, że dajesz rozkosz kobiecie?

Pociągnęła go do siebie, ale on się oparł. – Źle robię, że nie porywam kobiety, którą kocham, tak jak Wielki Bóg uczynił z Kaenis, porywając ją od jej ośpałego męża Atraxa.

Egina roześmiała się ponownie.

– Mój mąż, słodki chłopcze, nie jest ośpały – powiedziała, wplątując palce jednej dłoni w jego bujne, złote włosy, a drugą wodząc po jego młodzieńczej piersi. – Przeciwnie, jest gwałtowny, silny i nieczuły.

– Dlatego chcę cię od niego zabrać.

– Dlatego – jej palce z piersi powoli osunęły się na brzuch – nie możesz mnie od niego zabrać. Bo gdybyś spróbował, on nie dałby nam uciec. A jeśli by cię złapał, oboje ponieśliśmy niepowetowaną stratę.

Kleos poczuł jej dotyk i westchnął. Może i miał silne postanowienie, że na jeden dzień starczy cudzołóstwa, lecz jego ciało najwyraźniej nie zdawało sobie z tego sprawy. Następnym razem wezmę ją we własnym łóżu, na pirackim statku lub na wyspie, gdzie sam będę królem, mówił sobie. Jego ciało odpowiadało krótko: tu, tu, teraz, tu.

Tylko złość pozwoliła mu oprzeć się temu wołaniu. Odsunął na bok dłoń Eginę i powiedział:

– Nie boję się Peleusa.

– Wiem – odparła niezrażona. – Za to cię kocham. Ale po co się spieszyć? Czy to, co mamy, nie jest dobre?

– Jest – musiał przyznać. Jednak płomyk złości jeszcze w nim pełgał.

– Chcę tego, chcę ciebie – ale na zawsze. I już niedługo twój mąż... Zatkala mu dłonią usta.

– Dość o moim mężu. Niedługo zacznie się igrzysko. Zanim to nastąpi... zanim to nastąpi... – Resztę słów pochłonęły pocałunki. Egina ponaglała go, niecierpliwa jak zwykle.

Kleos zamarł nagle. Uniósł się na ramionach.

– Co? – parsknęła Egina.

– Słyszę coś.

– Jeśli to znowu twój bóg domaga się porwań, to powiedz mu...

– Cii! Nie. Ktoś idzie. Słyszysz? Śpiewa.

Egina przekrzywiła głowę. Przez chwilę nasłuchiwała, a potem zepchnęła z siebie Kleosa i poderwała się na nogi.

– To rybak – powiedziała. – Z wioski. Oni czasem tu przychodzą, zbierają małże i ostrygi.

– Tu nic nie ma – zaoponował słabo Kleos. – Na pewno zaraz...

Nie dała mu dokończyć. Rzuciła w jego kierunku chiton i płaszcz.

– Szybko! – syknęła.

– Co mam robić?

– Jak to co? Ubieraj się i idź do niego! Zagadaj go! Nie może mnie tu zobaczyć!

Kleos ubrał się posłusznie i wybiegł z jaskini, a potem wspiął się po skałach na nabrzeże.

Kamienistą plażą, podśpiwując, szedł niepozorny mężczyzna: czarny, ogorzały, masywny. Jego wygląd zdradzał żeglarza, ubiór – możnego pana, wojownika. Jego chiton był zielony jak morze, obszyty złotą nicią, na niego narzucił niedbale błękitny płaszcz spięty srebrną broszą. Gdy się zbliżył, Kleos spostrzegł, że broszę wykuto w kształt ponętnej nimfy.

– Witaj, przyjacielu! – odezwał się nieznajomy. Zęby błysnęły jaskrawą bielą na tle ciemnej brody, gdy się uśmiechnął. – Poszukuję pani Eginę, nie widziałeś jej może w tych stronach?

– Pani...? – Kleos poczuł, że jego serce przyspiesza. Ruszył naprzeciw nieznajomemu, żeby odciągnąć go od jaskini. – Cóżby tu miała robić? W te strony przychodzą tylko rybacy i dzikie kozy.

– Słusznie – nieznajomy kolejny raz błysnął zębami. – Lecz widziałem, jak Egina rano opuszcza megaron i zamiast iść na targ lub do pralni przechadza się plażą.

– Z pewnością jej służki wiedzą, gdzie się udała.

– A, pewnie tak. Powinienem był ich spytać, w końcu wszystkie zostały we dworze. Ciekawa sprawa, nie sądzisz, przyjacielu? Dobrze urodzona pani, a zamiast wyręczać się swymi służkami, daje im wolne, by umizgały się do stajennych. Spodziewałbym się, że zastanę tu choć jedną z nich, a tymczasem spotykam samotnego chłopca...

W jego ciemnych, prawie czarnych oczach pojawił się figlarny błysk. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy przez cały czas, gdy przyglądał się Kleosowi. On wie, pomyślał młodzieniec, jednak zamierzał iść w zaparte.

– Cóż, doprawdy niezwykle – odezwał się, a potem, nagle wy-czuwając humor rozmówcy, dodał: – Może jakaś zazdrosna bogini postanowiła zmienić piękną panią Eginę w tego właśnie chłopca?

Nieznajomy huknął śmiechem tak gwałtownym, że Kleos niemal podskoczył.

CZŁOWIEK, KTÓRY PRZERZUCIŁ MOST PRZEZ MGŁĘ

KIJ JOHNSON

(The Man Who Bridged The Mist)



Daniel Grzeszkiewicz

Kit przyjechał do Tej Strony z dwoma kuframi i oprawioną w ceratę teką wypełnioną planami mostu przez mgłę. Kufrы leżały rozrzucone jak kamienie u jego stóp, gdzie zwałił je chwilę wcześniej mężczyzna obsługujący dyliżans. Tekę trzymał przy sobie, starając się uchronić ją od powoli wysychającego po wczorajszej burzy błota.

Ta Strona była małą osadą, zwłaszcza dla kogoś ze stolicy, gdzie budynki wznosiły się na wysokość siedmiu lub ośmiu pięter, z miasta tak wielkiego, że nawet pełen wigoru piechur nie mógłby w jeden dzień pokonać odległości dzielącej jego wschodnie i zachodnie rogatki. Tutaj ubite polne drogi wiły się między nieregularnie rozrzuconymi budynkami i grodzącymi pola płotami. Nawet gospoda nie rzucała się w oczy, była prostym piętrowym budynkiem z żółtego wapienia pokrytym niebieskimi łupkowymi dachówkami, na którego tyłach (jak podpowiadał Kitowi wąż) trzymano jakieś zwierzęta. Nad wejściem na czarnym tle szyldu wyginała się przypominająca płaszczkę bładoniebieska ryba.

Przy drzwiach gospody stała ubrana w żywe kolory kobieta. Jej cera i oczy były blade, niemal pozbawione barwy.

– Przepraszam panią – powiedział Kit. – Gdzie znajdę prom, który przewiezie mnie na drugą stronę mgły?

Poczuł na sobie taksujący, choć przyjazny wzrok: obcy, niski, o bardzo ciemnej skórze, ubrany na szaro – mężczyzna ze wschodu.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Oba promy są po tej stronie, w górnym porcie. Ale domyślam się, że tak naprawdę szuka pan kogoś, kto mógłby pana przewieźć? Wczoraj wieczorem z Tamtej Strony wróciła Rasali Prom. To z nią musi pan porozmawiać. Najczęściej przesiaduje w Jeleniu. Ale Jeleń raczej się panu nie spodoba – dodała. – Nie to co moja Ryba. Potrzebuje pan pokoju?

– Spodziewam się, że spędzę noc w Tamtej Stronie – odpowiedział Kit przeproszającym tonem. Nie chciał brzmieć arogancko. Właśnie w tej chwili, z tym pierwszym wrażeniem, z pierwszymi wrażeniami kilku następnych dni, rozpoczął budowę niezbędną w jego pracy niewidzialnej sieci powiązań.

– Tak się panu wydaje – powiedziała kobieta. – Myślę, że zanim Rasali wyruszy na drugą stronę, minie jeszcze dzień lub dwa, a może i dłużej. Może zabrałby pana Valo Prom, ale on nie przeprawia się tak często.

– Mogłbym wykupić wszystkie miejsca, jeśli to jest powód, dla którego przewoźnicy czekają.

– To nie tak – powiedziała kobieta. – Rasali przeprawia się przez mgłę tylko wtedy, gdy jest na to gotowa. Gdy poczuje, że to właściwy moment, jeśli wie pan, co mam na myśli. Zresztą i tak zawsze może ją pan zapytać.

Kit nie wiedział, ale skinął głową.

– Gdzie jest Jeleń?

Wskazała kierunek.

– Na lewo, potem w prawo i kawałek prosto, przy małym warsztacie szkutniczym.

– Dziękuję – powiedział Kit. – Czy mogę zostawić tu kufrы do czasu, aż wszystko z nią ustalę?

– Zawsze przechowujemy bagaże podróżnych. – Uśmiechnęła się. – I zapewniamy im też nocleg, gdy już dowiedzą się, że tego dnia nie można przeprawić się przez mgłę.

Jeleń był mniejszy niż Ryba i bardziej gwarny. Było południe i wokół przysłoniętych cieniem dębu stolików w ogródku piwnym obok gospody zebrało się sporo ludzi o jasnej cerze i jaskrawych ubraniach. Pili i zagadywali w stronę ogrodzonego niskim płotem warsztatu szkutniczego, gdzie młody chłopak i dwie kobiety, niemal zupełnie zasłonięci przez parę wodną, zginali deski na kadłub niewielkiej, pękatej łodzi. Gdy Kit odezwał się do mężczyzny niosącego dwa kufrы czegoś, co wyglądało jak błoto i pachniało drożdżami, ten wskazał brodą na warsztat.

– Promowie są tam. Rasali to ta w czerwonym – powiedział, oddalając się.

„Ta w czerwonym” była wysoka. Jej skóra miała taki sam blady odcień jak u wszystkich miejscowych, a czarny warkocz był tak długi, że zawinęła go wokół szyi, by nie przeszkadzał w pracy. Jej ramiona przeżyły się w blasku słońca, gdy z pomocą chłopaka wyginała deskę tak, by przybrała kształt szkieletu łodzi i razem umieszczali ją na odpowiednim miejscu w konstrukcji. Druga kobieta, nieco niższa, z jasnymi, popielatymi włosami, tak częstymi w tej okolicy, przecisnęła świder przez deskę i żebro kadłuba, a następnie wbiła kołek w powstałą dziurę. Trzy kolejne kołki i szkutnicy wyprostowali się. Deska została tam, gdzie miała być. *Silni, pomyślał Kit. Ciekawe, czy mógłbym namówić ich do pracy nad mostem?*

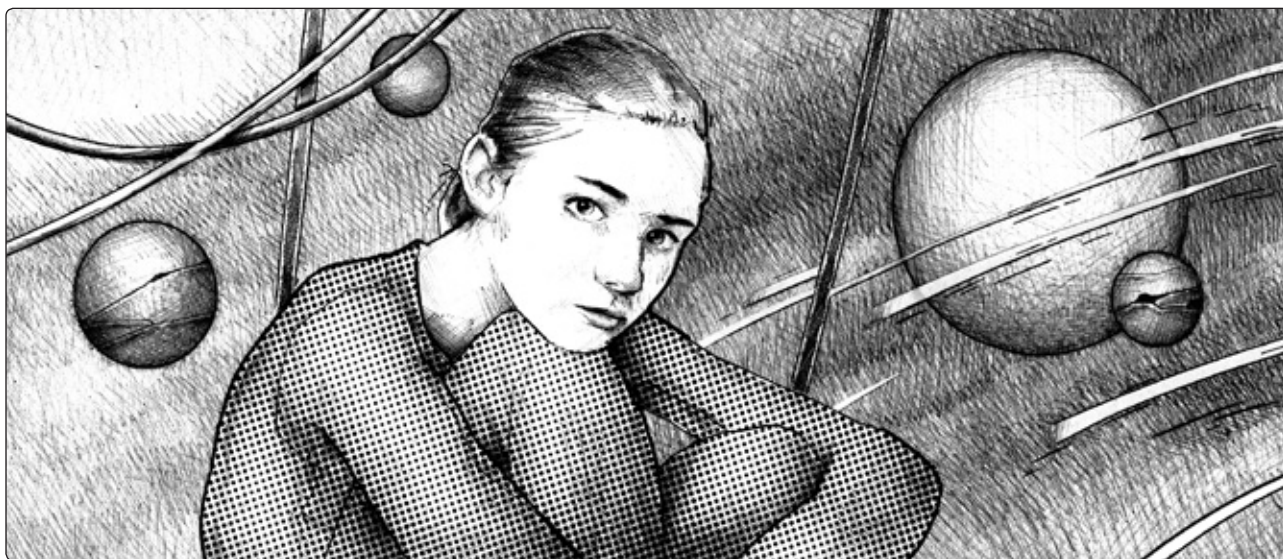
– Rasali! – gromki głos zabrzmiał tuż przy uchu Kita. – Ten człowiek pyta o ciebie.

STACJA KISZONEJ KAPUSTY

(Sauerkraut Station)

FERRETT STEINMETZ

Daniel Grzeszkiewicz



- Jesteśmy wyjątkowi dzięki kiszonej kapuście – wyjaśniła Lizzie, otwierając plastikowe drzwi, żeby pokazać Thembie urządzenia hydroponiczne. Wyciągnęła z wilgotnej ziemi bladezieloną główkę kapusty i ostrożnie mu ją podała.

Kiedy Themba obracał kapustę w dłoniach, Lizzie wstrzymała oddech. *Blagam, blagam, niech tylko mi nie mówi, że u nich coś takiego rośnie na każdym rogu.*

Themba przesunął ciemnobrązowym palcem wzdłuż zgrubień na kapuście, a potem westchnął z podziwem.

- Wspaniale – stwierdził.

Lizzie odetchnęła z ulgą. Themba przeszedł ostatni egzamin. Dziesięcioletni chłopiec był od niej młodszy o dwa lata, niższy o piętnaście centymetrów i ciemniejszy o osiem odcieni, a znała go dokładnie od trzech dni i dziewięciu godzin. Oznaczało to, że był jej najlepszym przyjacielem.

Themba wychylił się przez służę, by podnieść kolejną kapustę, ale jeden z eskortujących go strażników pociągnął go z powrotem za kołnierz czerwono-złotego kaftana. Lizzie była przekonana, że Themba tym razem zaoponuje, ale zignorował strażnika jak zawsze.

- Hoduujecie tu tutaj? – zapytał. – W kosmosie?

- Jasne – odparła dumnie Lizzie, obserwując, jak eskorta sprawdza, czy w pomieszczeniu hydroponicznym nie ma żadnych pułapek. – Mama mówi, że w Zachodnim Ramieniu są tysiące punktów zasilających, ale tylko my mamy prawdziwą, domową kiszoną kapustę. Dziesięć indo-dolarów za słoik. Przy zakupie trzech czwartych dostajesz gratis. Znam kapitanów, którzy nadkładają drogi tylko po to, żeby kupić u nas kimchi¹. Taaaajeeest.

- Musisz mi powiedzieć, jak to się robi! – Themba wsadził kciuk do słoika z kiszoną kapustą (strażnicy obejrzel go już wcześniej) i zlizał z niego sok. – To znaczy, jeśli to nie jakaś wielka tajemnica, czy coś.

- To bardzo proste – odparła Lizzie, zastanawiając się, czy Mama na pewno nie miałaby nic przeciwko dzieleniu się przepisem. – Pokażę ci, pod warunkiem, że te garbusey nie będą wchodzić mi w drogę.

- Nie, są w porządku. Hej, chłopaki, zróbcie nam trochę miejsca. Jesteśmy tu od trzech dni, przecież nic mi z jej strony nie grozi.

1) Tradycyjne danie koreańskie składające się z fermentowanych lub kiszonych warzyw, głównie kapusty oraz papryczek chili (przypr. tłum.).

Strażnicy ostrożnie wycofali się z kuchni zaprojektowanej tak, by zmieściły się w niej dwie osoby chcące rozmrozić porcje gotowego jedzenia dla klientów. Lizzie widziała ich mięśnie naprężające się, kiedy siadali na ławkach na zewnątrz baru i spoglądali na nią przez okienko.

Przerażali ją ci strażnicy i ich pozbawione zmarszczek twarze, które nigdy się nie uśmiechały. Stanowili całkowite przeciwieństwo Themby, którego twarz o płaskim nosie była tak pełna wyrazu, że w mgnieniu oka figlarny uśmiech mógł się na niej zmienić w grymas smutku. Chłopak nosił kolorowe, luźne ciuchy, a włosy spletał w cienkie warkoczki i ozdabiał je koralikami, podczas gdy jego strażnicy mieli na sobie szare, szeleszczące mundury.

- Nigdy w życiu nie gotowałem! – nieoczekiwanie uwolniony Themba zacierał ręce. – Jedzenie zawsze mi przynoszą. A teraz, jak spotkam się z najwyższymi dostojnikami Gineeru, zrobię dla nich kiszoną kapustę. Zapytaj mnie: „Gdzie się tego nauczyłeś?”, a ja odpowiem: „W kosmosie!”

- I to im zaimponuje?

- Pytasz poważnie? Czy zaimponuje im to, że prawdziwe jedzenie pochodzi z oddalonej placówki? Z układu, gdzie nie ma zamieszkałych planet? Będą błagać, żeby pozwolono im tu zamieszkać.

- Jesteś niesamowity – zaśmiała się Lizzie. – Mam nadzieję, że twój statek został unieruchomiony na zawsze.

Themba się zaczerwienił.

- Bardzo mi się tutaj podoba, ale muszę dotrzeć do mojej nagrody.

- Jakiej nagrody?

- Będę...

Jeden ze strażników wstał tak gwałtownie, że uderzył kolaniem o stolik. Themba nerwowo zerkał w jego stronę.

- To tajemnica – wyszeptał. – *Państwowa*. Ale to będzie coś rewelacyjnego.

Skoro Themba tak twierdził, to Lizzie mu wierzyła. Themba był jedynym gościem Stacji Kiszonej Kapusty, który rozumiał, jakim świetnym miejscem jest jej dom.

Do obowiązków Lizzie należało oprowadzanie dzieci klientów, podczas gdy Mama i Babcia zaopatrywały ich statki. Podróże kosmiczne były zarówno kosztowne jak i czasochłonne, dlatego dzieci okazywały się zwykle rozpieszczone i niezdolne. Większość marszczyła nosy, mówiąc, że tutaj śmierdzi, chociaż *wcale nie śmierdziało* – Lizzie mieszkała tu przez całe życie i była przekonana, że zorientowałyby się, gdyby rzeczywiście brzydko tu pachniało.

PRENUMERATA



PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–16.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.

Upewniamy się, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).



UWAGA!

Kwartalnik „Czas Fantastyki”

w roku 2013 jest wydawany przez
Narodowe Centrum Kultury i Prószyński Media
i nie jest przeznaczony do sprzedaży.

Można go otrzymać bezpłatnie

- w księgarni firmowej Prószyński Media,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- przesyłając na powyższy adres kopertę ze znaczkiem
i adresem zwrotnym (ważne do wyczerpania zapasów).
- pobierając plik PDF ze strony www.fantastyka.pl

Więcej informacji na www.fantastyka.pl/czasfantastyki



Głębinyne badania fantastyki polskiej
i światowej, szkice, wywiady, felietony,
recenzje, komiksy

W formacie intelektualnym XXL!!!

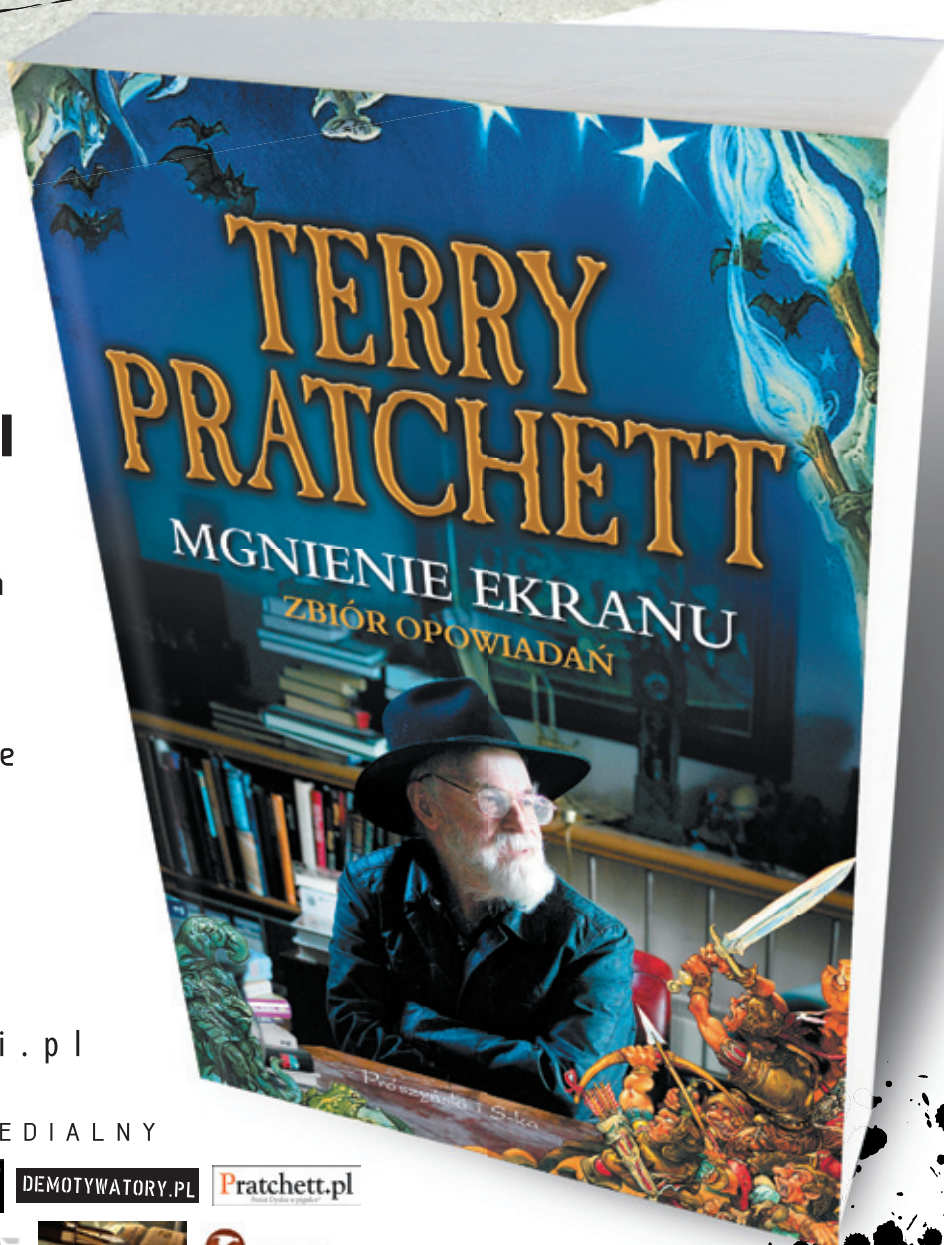
Wśród autorów: Jacek Dukaj, Marek S. Huberath, Szczepan Twardoch, Łukasz Orbitowski, Wit Szostak, Konrad T. Lewandowski, Janusz Cyran, Jerzy Szytak, Wojciech Birek, Zbigniew Wojnarowski, Maciej Żerdziński, Tomek Niewiadomski, Paweł Majka, Elżbieta Żukowska, Wojciech Szyda, Lech Jęczyński, Arkadiusz Grzegorzak, Maja Lidia Kossakowska, Anna Dorota Kamińska, Paweł Matuszek, Michał Protasiuk, Wojtek Sedeńko, Marek Oramus, Dominika Materska, Robert Klementowski, Michał Chudy Chudoliński, Przemysław Pieniążek, Jacek Sobota!

Wszystkie Terry'ego PRATCHETTA

LITERACKA GRATKA NIE TYLKO DLA WIELBICIELI ŚWIATA DYSKU

Ponad trzydzieści opowiadań mistrza humorystycznej fantastyki, od debiutu, po historie z kultowego Świata Dysku. Znajdziecie tu postacie i światy zarówno znajome, jak i czekające na odkrycie; a wszystko to przesycone niemożliwym do podrobienia poczuciem humoru.

www.proszynski.pl



PATRONAT MEDIALNY



DEMOTYWATORY.PL

Pratchett.pl

Discworld.pl

dlaStudenta.pl

esensja

kawerna.pl

antasta